

Zofia Tarajło-Lipowska

RECYKLING

Zofia Tarajło-Lipowska

RECYKLING

Policyjne zagadki Pasikurowic:

1. Śmierć dziekana

2. Recykling

© Copyright by Zofia Tarajło-Lipowska & e-bookowo

Redakcja: Anna Kurzyca

Korekta: Stanisława Trela

Projekt okładki: Monika Kowal

ISBN 978-83-7859-802-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Podobieństwo książkowych postaci, zdarzeń
i odkryć naukowych do postaci, zdarzeń
i odkryć rzeczywistych – jest przypadkowe.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2017

***Jarkowi
za wszystko***

***Autorka dziękuje Wszystkim,
którzy przeczytali tę książkę przed publikacją i swymi
uwagami przyczynili się do jej ulepszenia.***

- Dzień dobry ci, Królu-Lulu z kartoflanym noskiem!*
 - Dzień dobry wam, Dzieci-Śmieci!*
- Gdzieście byli, coście robiły?*

(Dziecięca zabawa podwórkowa)

Rozdział I

Portret mężczyzny z rozterką w tle

Komisarz Jacek Cichosz z wojewódzkiej komendy policji Dolnego Kuropasia miewa czasem chwile mniej absorbujące zawodowo. Lubi wówczas poczytać sobie artykuły na tematy, które nurtują współczesną humanistykę. Takie, które odzwierciedlają dyskusje prowadzone w intelektualnych kręgach, a zwłaszcza tematy, które mają związek z codziennym życiem zwykłych ludzi. Ostatnio zajęła go dyskusja nad pojęciem „cywilizacji śmierci”, które dotyczy go specjalnie jako oficera dochodzeniowego w sekcji zabójstw.

Niektóre wypowiedzi zawężyły termin do demografii i sugerowały, że przejawem „cywilizacji śmierci” jest wszystko, co choćby w najmniejszym stopniu przyczynia się do tego, że ludzkość nie rozmnaża się szybko i systematycznie. W tej sprawie komisarz Cichosz nie czuł się winny. Rozmnożyli się z żoną, jak uważał, dostatecznie, dając światu dwie córki, na razie niedorośle i nieczynne reprodukcyjnie (tutaj pojawiał się lekki niepokój, czy aby na pewno starsza córka nie wchodzi na drogę wiodącą w skutkach do reprodukcji). W pracy zawodowej on sam przecież temu mnożeniu się nie przeciwstawia. Nie jest lekarzem seksuologiem czy ginekologiem, nie jest nauczycielem czy wychowawcą młodzieży, nie zasiada też w żadnych komisjach namawiających do prokreacji lub jej broniących.

Inni intelektualiści „cywilizację śmierci” dostrzegali w fascynacji śmiercią we współczesnej kulturze. Tyle zjawisk udało

się zrozumieć, ulepszyć, oswoić, ale śmierć – nie. Może stąd ta fascynacja? Było to komisarzowi i jego kolegom o wiele bliższe. Tkwili bowiem w samym ogniu czynności, które następują po czyjejś bezsensownej i przedwczesnej śmierci, nie wynikłej bynajmniej z nieszczęśliwego wypadku czy zgubnej choroby, nie wynikłej z przypadku, lecz z zabójstwa, które musi spotkać się z potępieniem i odpowiednio surową karą.

W takim sensie komisarz był częścią aparatu obracającego się wokół śmierci, choć, oczywiście, tylko częścią regulującą czy korygującą. Nie miał złudzeń, że jego praca może zapobiec czynom karalnym, tak jak bywa na przykład w przypadku drogowki czy obyczajówki. Wykrycie mordercy niewiele zmienia w mechanizmie spraw, które szarpią różnymi ludźmi, chyba że potencjalny morderca dostatecznie wcześnie poczuje lęk przed komisarzem Cichoszem. Komisarz odgrywałby wtedy rolę „czarnego luda” siejącego postrach, dzięki któremu teoretycznie ktoś mógłby się powstrzymać od zadania komuś innemu śmierci. Taka teza byłaby jednak trudna do udowodnienia. Raczej wygląda na to, że udział komisarza w „cywilizacji śmierci” jest podrzędny, choć być może większy niż przeciętnego czytelnika kryminałów. Jednocześnie zajmuje się on śmiercią w ramach obowiązków służbowych, a tymczasem czytelnik kryminałów robi sobie z tego tańszą czy droższą rozrywkę. A więc czytelnik jest bardziej winny, bo znajduje w tym upodobanie. Ale ten wniosek, choć niby dla niego korzystny, niewiele go pocieszył.

Lato się kończyło, ale pogoda dopisywała, choć wizja tęgiej zimy spędzała sen z powiek tym bardziej skłonny do

depresji mieszkańcom Pasikuwowic, stolicy Dolnego Kuropasia, miasta dużego, ale słabo zaznaczającego się na mapie Europy. Co prawda w przyszłym roku Pasikuwowice zostaną „europejską stolicą dobrego gustu”, ale nikt nie miał złudzeń, że będzie to oznaczało coś więcej niż większe tłumy na Rynku, głośniejszy ryk z megafonów oraz wyższe zyski restauratorów. No więc ciekawie się to zapowiada, jeśli, oczywiście, słowa „ciekawie” użyjemy z ironią.

Przedstawianie Pasikuwowic jako ważnego składnika Europy było jednak poważnie zaniedbane, bo miasto leżało na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych po wielusetletnim okresie „obcego zniewolenia”. I nieważne, że nasze rdzenne ziemie wcale nie były siłą podbite, lecz trafiły do rąk obcych książąt na podstawie sukcesji, transakcji handlowych czy rozliczeń pobitewnych – w każdym razie odpadły od ciała najświętszej naszej ojczyzny, ale nie tak dawno, po kilkuset latach obcych rządów, znów nam wpadły do ojczystego podwórka.

Wbrew entuzjazmowi, który ten fakt pozornie budził, przez kilkadziesiąt powojennych lat obchodzono się z nimi po macoszemu. Ostatnio zaczęto spieszenie odrabiać zapóźnienia, ale na prawdziwe odrobienie ich było już nieco późno. Dzielnym prezydent miasta wprawdzie dawał przykłady zapobiegliwości, pomysłowości i gospodarności, ale wielu przeszkód nie zdołał pokonać, a poza tym nie zawsze udawało mu się przebić przez okopy warszawskiego centrum dowodzenia krajem. Prominentni działacze, osobistą siłą rażenia do Warszawy się przedarli, zapadali w stolicę naszą kochaną, jakby to był ich docelowy grajdołek na mocno na-

słonecznionej plaży. Czasem też traktowali miasto jako dołek startowy do wyścigów, na przykład do Brukseli. Nawet aktorzy, skoro tylko wybili się w telewizyjnych serialach, zwiewali z Pasikuwic, jak tylko mogli. Działo się to z niejasnych i tajemniczych powodów, gdyż Pasikurowice są położone o wiele bardziej wygodnie i środkowoeuropejsko niż wymieniony wyżej symbol narodowej martyrologii.

Ostatni pomysł gorliwego prezydenta miasta i jego mądralińskich doradców zakładał, że Pasikurowice rozsławia... krasnoludki. Liczne pomniczki krasnoludków, stosownie do wzrostu tych istot nieokazałe, ustawiono na bruku śródmiejskich rejonów miasta, a one zaczęły natychmiast nad nim czuwać, choć – jak to już bywa z krasnoludkami – jednocześnie obrosły brudem i bywały obsiudane przez psy.

Innym dziwnym posunięciem stał się pomnik ludzi wchodzących do metra. Otóż zamiast zbudować metro dla mieszkańców lub chociaż przejścia podziemne wydrążyć dla bezkolizyjnego przekraczania ulic, jakiś genialny artystyczny umysł stworzył ich atrapę, czyli na zatłoczonym chodniku – ot, tak sobie! – ustawił posągi ludzi niby schodzących w dół po schodach. Ileż to zabawy i radości sprawia starszym, słabiej widzącym turystom sytuacja, kiedy nie mogą znaleźć wejścia do rzekomego metra! Albo niechący rozbijają sobie nos o metalową sylwetkę, którą kątem oka wzięli za idącego człowieka.

O tym wszystkim rozmyślał sobie posępnie komisarz Jacek Cichosz, tkwiąc w korku przed wjazdem na wiadukt, usytuowany ni stąd, ni zowąd w samym środku miasta i rozpychający w lewo i w prawo kilka zabytkowych dzielnic. Kilkaset

metrów musiał komisarz przejechać jedną z krzyżujących się tu dróg przejazdowych: północ-południe i wschód-zachód. Dwupoziomowe skrzyżowanie nazywano Węzłem Warszawskim, ponieważ kierując się z tego miejsca przez rzekę, przejeżdżając ją dwukrotnie, a potem wbijając się w korek i uzbrajając się w cierpliwość, drogą nieprostą, niełatwą i zatłoczoną samochodami, można było w końcu dotrzeć do stolicy.

Komisarz nienawidził tego rozwiązania urbanistycznego. Przypominało mu ono złośliwego raka wyrosłego w samym środku miasta, który przeżera miejski organizm, wypuszczając betonowe macki na wszystkie strony, wgryzając się w inne narządy miejskiego ciała. Poza tym w razie awarii czy wypadku na krzyżujących się tutaj trasach przejazdowych niezmiernie trudno jest dotrzeć do uszkodzonych samochodów, projektanci bowiem beztrąsko nie przewidzieli takiej możliwości. Po prostu cały przejazd przez Pasikurówice wtedy się zamyka i wokół robi się istny horror drogowy.

„Największy horror, jeśli w środku samochodu są ranni. Gdyby dodać do tego wampiry, to nawet filmowy horror można by tu nakręcić” – myślał sarkastycznie Cichosz, czując drobną satysfakcję, że sam wprawdzie też pracuje w policji, ale nie w drogówce, tylko w sekcji kryminalnej, gdzie sprawcą przestępstwa jest konkretny człowiek, a nie fatalny zbieg okoliczności czy mylna decyzja niewinnego skądinąd kierowcy. „No i te ogromne bryły betonu zawieszane nad jezdnią... brrr!” Wstrząśnięty tymi wizjami komisarz po raz kolejny zatęsknił do życia gdzieś daleko stąd, wśród nieskażonej przyrody.

„Rzucę to wszystko w diabły – planował sobie. – Wyprowadzimy się z żoną na wieś, kupimy domek pod lasem,

będziemy hodować barany i wdychać czyste powietrze. Raz na tydzień samochodem terenowym, który, oczywiście, też sobie kupię, pojedziemy do supermarketu w miasteczku. W tym miasteczku będzie komenda policji, w której na pewno mnie zatrudnią, niechby nawet na podrzędnym stanowisku, wszystko jedno. Ola będzie uczyć angielskiego w miejscowej szkole, może też przekładać wiersze na polski, a córki wyrosną na miłośniczki przyrody. Nie wchłoną tego brudu miejskiego, fizycznego i moralnego”.

Rozważania kończyły się znakiem zapytania, bo w podświadomości Cichosza narastało coraz silniejsze przekonanie, że tak proste to nie będzie, że idylla okaże się pozorna. Czuł, że zrobiłby błędny krok, nawet gdyby wszystkie jego trzy dziewczyny to zaakceptowały.

Korek zmniejszył się, komisarz przejechał przez stary, zażytkowy most wiszący, który do pseudonowoczesnego Węzła Warszawskiego z dziwnym systemem wjazdów i podjazdów pasował jak pięść do nosa, czyli do szacownego zabytku nie pasował. Skręcił w jedną z wąskich uliczek do komendy.

– Komendant o pana pytał, panie komisarzu – zaczęła go pani Agnieszka.

– Niech pan od razu idzie do jego gabinetu.

Na kanapie u komendanta siedziała pani w szarej sukience nad kolana, w krótkim żakiecie tego samego koloru i z kolorowym wisiorkiem na szyi. Pani raczej niebrzydka, lekko zarumieniona i konwencjonalnie uśmiechnięta.

– Pozwól, że ci przedstawię naszą nową koleżankę. Pani doktor Andżela Mentel jest u nas na rocznym stażu. Prakty-

kowała trochę w policji krakowskiej, a teraz przerzucono ją do nas, bo tak się składa, że pani doktor jest naszą krajanką, pochodzi z Pasikurowic, mieszka tu na stałe. Jeśli staż zakończy się pomyślnie, a na to się właśnie zanosi, pozostanie u nas.

Skoro koleżanka, to Cichosz darował sobie całowanie w rękę, uściśnął ją tylko i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Pani jest Polką? – upewnił się.

– Jak najbardziej Polką, moje imię pisze się przez „dź”, tak jak słowo „dżungla” albo „dżem”. Jeśli panu chodzi o nazwisko, to wyjaśnię, że jeden z moich dziadków pochodził z Austrii, ale to dawne dzieje – powiedziała pani.

Miała ładne niebieskie oczy, które podkreślały łuki jaskółczych brwi. Na szczęście nie była blondynką, raczej szatynką z półdługimi włosami. Cichosz nie cierpiał blondynek, nie cierpiał ich nawet jako koleżanek, choć niepolitycznie byłoby się do tego przyznać. „Blondynki nie są generalnie głupie, ale z drugiej strony bywają kobiety beznadziejnie niemądre, wiele z nich to blondynki. Jacyś faceci im wmawiają, że bycie głupią dodaje im urody, ale ja do takich nie należę. No więc skąd to moje uprzedzenie do blondynek, może z dzieciństwa?” – komisarz nie potrafił sensownie tego uzasadnić. Pomyślał, że skoro komendant Gawlikowski zaprosił ich oboje do gabinetu, to szykuje się współpraca.

– Pani doktor praw, jak sądzę? – uściślił jeszcze. – A może pani psycholog?

– Nie, pani Mentel jest filologiem, dokładniej mówiąc polonistką. Pracowała na Uniwersytecie Kuropaskim, zrobiła tam doktorat, ale wskutek różnych zawirowań, musiała

uczelnię opuścić. Nie zdecydowała się na habilitację, choć pewne kroki w tym kierunku poczyniła, prawda? – komendant popatrzył w oczy pani doktor, szukając w nich potwierdzenia. – Potem skończyła nasz roczny kurs dla absolwentów wyższych uczelni i policja przyjęła ją na okres próbny. Pani doktor dostała stopień aspiranta-stażysty w wydziale zabójstw, mam jej przydzielić pierwszą sprawę, ale już pewne doświadczenia ma, bo stażowała w Krakowie.

– W Krakowie zajmowałam się prewencją kryminalną w Wydziale Nietletnich i Patologii Społecznych, zwłaszcza rodzinami dysfunkcyjnymi. Mam na koncie wyjaśnienie kilkunastu drobnych kradzieży i paru poważnych czynów przeciw życiu i mieniu, w które wplątani byli nieletni – wtrąciła pani.

– No właśnie, kobietom tradycyjnie przydziela się sprawy rodzinne i nietletnich, ale my tu nie chcemy być tradycyjni, chcemy wykorzystać pani znajomość środowiska uniwersyteckiego. Mamy tu bowiem coś takiego, że znów trzeba delikatnie, w rękawiczkach i tak dalej, ale nie wiadomo, czy tych rękawiczek w gównie się nie umoczy. Przepraszam panią za słowo, ale tutaj pasuje w sam raz. W zeszłym roku mieliśmy podobną sprawę, pan komisarz Cichosz sprawdził się wtedy znakomicie, sam rektor mi gratulował, że dzięki nam pozbył się ludzi, którzy mogliby go skompromitować, gdyby nadal byli „w jego ekipie”, tak się wyraził. Nie wiem, skąd ta liczba mnoga, bo morderca był jeden. Chyba że rektor Bajorek miał również na myśli ofiarę, czyli dziekana Wydziału Humanistycznego, a może myślał o innych niewygodnych osobach? W tego typu przypadkach zawsze chodzi o to, żeby nie było skandalu, bo pojawiają się różne hieny dziennikarskie, które

piszą jakieś artykuły w „Nie” czy w Agorze. Łatwo o niepożądane uproszczenia, w których ktoś może zostać skrzywdzony, nawet sam rektor.

– Widzę, że pan komendant przekonał się trochę do rektora – wtrącił Cichosz. – Chyba wciąż ten sam rektor króluje, nie minęła jeszcze jego kolejna kadencja. Nie chcę być drobiazgowy, ale kiedyś inaczej pan o nim mówił, bardziej sceptycznie, prawda?

– No tak, ale dostałem za to nieźle po głowie, cicho-sza! – zaśmiał się komendant. – I to z dwóch stron, z ministerstwa, oczywiście, ale pisał też do mnie, wyobraźcie sobie, biskup diecezji dolnokuropaskiej! Wypowiedziałem się dla prasy dość szeroko i dostałem od kurii list, że założeniem każdej władzy jest zaufanie, jakie się w niej pokłada. W podtekście chodzi o to, że władza pochodzi od Boga, nawet jeśli jest wybieralna, wtedy nawet bardziej, bo w ten sposób jeszcze dokładniej i dobitniej przejawia się Boża wola. Władców krytykować nie wolno, trzeba cierpliwie czekać, aż władcy sami się skompromitują, poślizgną się na swoich posunięciach, rozwalą w drzazgi parę dobrych inicjatyw, podejmą jakieś głupie decyzje. Ironizuję, oczywiście. Słowem chodzi o opatrność demokracji, bo opatrność czuwa i w razie czego jasny grom z nieba ześle albo przynajmniej podeśle kogoś, kto zrzuci dziekana z czwartego piętra. Ale ja to wam, oczywiście, mówię w zaufaniu – zmytygował się Gawlikowski, z pewną obawą patrząc na doktor Mentel, której jeszcze nie znał. Pani jednak z zapalem potakiwała, aż na jej policzkach pojawiły się kolory.

– A co tym razem mamy na uniwersytecie? – spytał Cichosz, trochę obcesowo, ale ciekawość go ponosiła. „W tym

wysnionym domku na skraju lasu nie miałbym takich ekscytujących przeżyć” – pomyślał przelotnie.

– Mamy trupa płci żeńskiej w składzie makulatury – powiedział komendant.

– Czytaliście w gazetach? Píše się o tym już od kilku dni, ale z początku nie zidentyfikowano tej kobiety. Były spekulacje, że to prostytutka z Rosji czy Ukrainy, ze względu na miejsce znalezienia zwłok, a ona sama rozebrana do bielizny, typ urody wschodniosłowiański. Niemłoda już i niezbyt ładna, ale kręcą się tutaj różne, a poza tym dużo kobiet ze wschodu przyjeżdża tutaj handlować, sprzątać czy opiekować się po domach niedołącznymi ludźmi. Mieszkają nielegalnie albo twierdzą, że są tylko przejazdem. Próbuje się nad tym zapanować, ale wciąż zatrzymujemy osoby, które nie mają papierów w porządku. No, słowem wietrzyliśmy tutaj podobną sprawę, tragiczną, niestety. Takich informacji, bardzo zresztą ogólnych, nasza rzeczniczka Magdalena Zasada udzieliła prasie, która, oczywiście, rzuciła się na nie w nadziei, że będzie sensacja.

– A tymczasem... – odrzucił Cichosz, znający już dygresyjny sposób opowiadania swego szefa.

– Powiem coś, co absolutnie nie jest przeznaczone dla prasy. – Komendant ściszył głos. – Przynajmniej na razie. Mówię to wam obojgu jako ekipie dochodzeniowej. Ani mru-mru. – Popatrzył na doktor Andżelę, której oczy otworzyły się szerzej i jakby jeszcze bardziej zniebieszczały.

– Może być z tego sensacja, bo zgłoszono nam, że od kilku dni nie ma w pracy Hellady Słoneczny, dyrektor Instytutu Semikomunikacji Interkulturowej Uniwersytetu Kuropa-

skiego – przeczytał komendant z notatek. – Hellada pisze się przez dwa „l”, zapamiętajcie to sobie. Ta pani mieszkała sama i przez kilka dni nie przychodziła do pracy. Współpracownicy grzecznie odczekali, ale w końcu zaczęli się niepokoić, tym bardziej że komórka nie odpowiadała, mieszkanie było zamknięte i tak dalej... Przywieźliśmy do nas sekretarkę i ona zidentyfikowała zwłoki. W mojej ocenie jest to sprawa co najmniej dziwna, zważywszy na miejsce znalezienia zwłok, no i na środowisko, w którym ofiara się obracała, ale powtarzam, powoli zaczynamy przyzwyczajać się do tego środowiska.

– A czym zajmuje się ten instytut? – zapytał Cichosz. – Studiowałem tutaj, ale takiej jednostki nie pamiętam.

– To jest nowa jednostka – wtrąciła się doktor Mentel, w widoczny sposób szczęśliwa, że i ona może coś do sprawy dodać. – Semikomunikacja to znaczy tyle, co półkomunikacja. Może być półkomunikacja językowa, ale akurat tej się tutaj nie uprawia, nie bada się jej, to się robi w innym instytucie. Albo może być półkomunikacja kulturowa, to znaczy bada się, co dwie lub trzy kultury mają ze sobą wspólnego, a co je od siebie dzieli. Dawniej badało się różnice, ale teraz większy nacisk trzeba dać na podobieństwa, na kontakt. – Rozejrzała się po kolegach, ale miny mieli nie bardzo mądre. Ciągnęła więc: – W dawnym ujęciu, czyli ujęciu porównawczym, chodziło o wskazanie różnic i zależności. Że niby jedno bardziej rozwinięte niż drugie, jedno lepsze, a drugie gorsze. Takie podejście jest nieaktualne. Mamy Unię Europejską, chodzi nam o integrację, o wskazanie punktów wspólnych. Punkty wspólne pozwolą lepiej się porozumieć, komuni-

kować ze sobą. I to nie tylko językowo.

– Czy to nie za szerokie pojęcie, taka półkomunikacja w Europie czy może na całym świecie? A w Pasikurowicach mają się zbiegać nitki tej komunikacji? – zapytał komendant, choć Cichoszowi wydało się, że powiedział to nieśmiało. – Czy pani uczestniczyła w tych badaniach?

– Nooo, trochę się o nie otarłam. Kiedyś zajmowałam się ponadjęzykowym aspektem kontaktów społecznych. – Pani rozejrzała się, ale napotkała dwa zdziwione spojrzenia. Powiedziała cierpliwie: – Wyjaśnię panom, na czym polega półkomunikacja, na przykładach skrajnych, żeby było bardziej zrozumiałe. Na przykład spotyka się człowiek z Pasikurowic i człowiek z plemienia Zulu. Uśmiechają się do siebie, podają ręce, Polak pokazuje na żołądek, że jest głodny, tamten go częstuje, Polak zajada. Klepie się po brzuchu, że było smaczne. A teraz weźmy zupełnie inny przypadek: Polak spotyka człowieka z Czeskich Budziejowic, wtedy ten zakres komunikacji bardzo się rozszerza, choć nie jest jeszcze komunikacją pełną. Dużo mają wspólnych albo podobnych wyrazów: mleko, chleb, piwo, marmolada albo *marmeláda*, kiełbasa albo *klobása* – komunikacja przebiega o wiele szybciej i precyzyjniej. Jeśli smakowało, mogą sobie powiedzieć: smakuje albo *szmakuje...* i jeden, i drugi to zrozumie. Oczywiście, mogą się porozumieć bez słów, klepiąc się po brzuchu, jak przy spotkaniu człowieka z plemienia Zulu. Ale w tym drugim przypadku klepanie po brzuchu jest redundantne, czyli prościej mówiąc, niekonieczne. I tu nagle pojawia się problem, czy nieklepanie się po brzuchu jest w tym przypadku obojętne, czy nie sygnalizuje, że na przykład wcale nie smakowało. A zatem wyzna-

czenie pola redundancji i wskazanie warunków, które muszą być spełnione, żeby z całą pewnością zaistniała, staje się szalenie ważne. Z tego widzimy, że semikomunikacja częściowo przebiega ponad językiem, częściowo w jego obrębie. Aha, zapomniałam o czymś. W części ponadjęzykowej wyznacznikiem byłby również kolor skóry, choć gdyby Zulus skończył studia w Czeskich Budziejowicach, to czynnik „kolor skóry” będzie redundantny, toteż można go pominąć.

– Więc pani pracowała w tym instytucie i zajmowała się połową tej półkomunikacji, pozajęzykową połową? – spytał Cichosz.

– Tak, oprócz wykładania półkomunikacji interkulturowej w aspekcie środkowoeuropejskim zajmowałam się badaniem, jak na językowe składniki kultury europejskiej, zwłaszcza składniki odróżniające kulturę słowiańską od innych kultur, reagują studenci przybyli z Afryki i Azji. Ale trzy lata temu odeszłam na własną prośbę – wyjaśniła Andżela.

– I знаła pani dyrektor Słoneczny? – zapytał Gawlikowski z ożywieniem.

– Znałam, ale niezbyt blisko. Rzadko ją widywałam, bo na początku wzięłam urlop naukowy na habilitację, a potem dali mi urlop zdrowotny na poratowanie zdrowia, bo zostało nadwyrężone intensywną pracą na urlopie habilitacyjnym. Do Instytutu Semikomunikacji Interkulturowej przychodziłam, żeby załatwić formalności z tym związane, czasem z dyrektorem Słonecznym wymieniliśmy parę słów. Zbyt sympatyczna to ona nie była, nie zachęcała do zacieśniania kontaktów.

– Dobrze, dziękuję pani. Proszę zapoznać się z dotychczasową dokumentacją i podjąć czynności śledcze – rzucił

Gawlikowski, wyraźnie zmęczony tymi wyjaśnieniami. – Dochodzeniem kieruje komisarz Cichosz, w ekipie jest aspirant Mentel i starszy sierżant Gąbka. Codziennie proszę meldować wyniki dochodzenia, dwa razy w tygodniu piszemy raporty.

– Ale pani mu dała z tą semikomunikacją! On spodziewał się prostszego wyjaśnienia, może myślał, że to coś w rodzaju semiotyki? Widziałem to po jego minie. Ja zresztą w pierwszej chwili też tak myślałem – powiedział Cichosz, ledwie zamknąwszy za sobą drzwi. – Poznała już pani Andrzeja Gąbkę? To będzie nasz chłopak do bicia, bo jest najmłodszym członkiem ekipy. Och, przepraszam. – Komisarz zorientował się, że strzelił gafę. – Dziewczyn się nie bije, więc panią pominąłem – próbował jeszcze ratować sytuację.

– Nic nie szkodzi – powiedziała sucho pani aspirant. – Oboje jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku, prawda?

O Autorce

Prof. dr hab. Zofia Tarajło-Lipowska, bohemistka i polonistka, jest autorką wielu publikacji, m.in. "Historii literatury czeskiej" (Wyd. im. Ossolińskich 2010) oraz książek popularnonaukowych o języku czeskim: "Kapoan na opak. O czeskim dla Polaków, mało zaawansowanych, ale mocno zainteresowanych" (Wyd. Uniwersytetu Wrocławskiego 2000) i "Nowy Kapoan. Strzel i traf do polsko-czeskich językowych gaf" (Wyd. Afera 2013). Znajomość środowiska uniwersyteckiego wykorzystała też w twórczości beletrystycznej, w satyrycznych powieściach kryminalnych: "Śmierć dziekana" (Wyd. Lech i Czech 2014) i "Recykling" (Wyd. e-bookowo 2017).

Spis rozdziałów

Rozdział I Portret mężczyzny z rozterką w tle.....	7
Rozdział II Buszujący w zbożu – kłósów brak.....	21
Rozdział III W maseczce i bez maseczki.....	33
Rozdział IV Przerosty formy nad treścią.....	46
Rozdział V Cienie w słońcu Hellady.....	56
Rozdział VI Pitwa, czyli patroszenie.....	68
Rozdział VII Tapiceriada psychoterapeutyczna.....	80
Rozdział VIII My u was – wy u nas.....	92
Rozdział IX W barłogu Kłapoucha.....	104
Rozdział X Tańce wokół idoli słowiańskich	118
Rozdział XI Na bezśladziu poślad śladem.....	129
Rozdział XII Wielkie schematy i małe figury.....	138
Rozdział XIII Panowie, <i>ad rem</i> , akcja jest!	148
Rozdział XIV Boniek zawsze strzela gola.....	164
Rozdział XV Ruch w Duchu i dla ducha.....	178
Rozdział XVI Zbyt dużo bab.....	188
Rozdział XVII Raz sierpem, raz młotem.....	202
Rozdział XVIII Pijane dziecko we mgle.....	215
Rozdział XIX Na roszady nie ma rady.....	228
Rozdział XX Włazł kotek na stółek... i Murga?	242
Rozdział XXI Gra o (prawie) wszystko	256
Rozdział XXII Wszystkie nitki prowadzą do kłębka.....	271
Rozdział XXIII W poszukiwaniu straconego ojca.....	287
Rozdział XXIV Dziedzictwo Gbura.....	294
Rozdział XXV W stronę sielanki.....	304
Rozdział XXVI Ech, żal serce ściska.....	312
Rozdział XXVII „Wąty” obrastają w wątki.....	319
Rozdział XXVIII Snopek światła.....	340
O Autorce.....	355